



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÓCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

NIĆ TRADYCYI.

Szlachetne pióro ¹⁾, które już spoceło nazawsze, rozjaśniło nam ważną kwestyą moralnej naszej historii: w chwili ogólnie europejskiego przełomu wyobrażeń o kobiecości, nie było u nas nigdy emancypantek, bo były entuzyastki. Kobiety serc gorących i polotów ducha wyższych nie oddały się u nas nigdy sprawie wyłączności kobiecej, gdyż podejmowały prace wzniosłe w ogóle i dla ogółu swego, a przez tę działalność znajdowały tak ujęcie dla sił i pożądań swych duchowych, jak i to uznanie, to uczczenie wyższe, które jest naturalną nagrodą zasługi. Czy przecież nie tradycyi nie zrywa się? Czy entuzyastki są u nas jeszcze i, chcąc się o tem dowiedzieć, gdzie ich szukać należy? Tamte, dawne, były wszędzie, gdzie tylko kobieta stać i działać może: były entuzyastki żony, entuzyastki matki, entuzyastki gospodynie; były entuzyastki kobiety towarzyskie, panie w salonie, czy w pokoju bawialnym, te które wielbiono, które kochano, te, które nadawały ton obyczajom i jedyną odróżniającą je cechą było: oderwanie się od lichej elegancyi i strojności zbytkowej, myśl poważniejsza, uczucie gorętsze w sercu niezacieśnionem do kółka egoistycznych jedynie ukochań.

To ich charakterystyka ogólna; a jakie działalności środki i sposoby, jakie zastosowanie tej myśli, która w zadumie nad życiem spoważniała, tego uczucia, które się w wyszlachetnieniu swem podniosło i rozszerzyło? Jeśli naprzykład była

to żona, matka, kobieta w rodzinie, to jak swój entuzjazm, zapal, ogień uczuć podniesionych w miłość małżeńską, w miłość macierzyńską wcielała, jak łączyła ze sobą obowiązki rodzinne z temi obowiązkami dla ogółu, dla społeczeństwa swego, których wagę i znaczenie pojawiały, za powinność swoją na równi z mężczyzną uznała? Każda prawdziwa entuzyastka uważała to sobie za grunt, za podstawę życia moralną, za uczciwość wreszcie, aby nic nie odrobionego, niedokonanego poza sobą nie zostawić. Liczyły się więc z obowiązkami surowo, powiedzieć można do łebków od szpilki, któreby im na duszach wyrzutem ciężły, gdyby w rachunku sumienia wypadł im z nich własnowolnie sprowadzony deficyt, niezapłacony dług, zaliczka wzięta a nieuiszczona. To właśnie różniło ich i różnić będzie nazawsze od emancypantek z jednej, od sentymentalnych kobiet z drugiej strony. Emancypantka sama sobie i ze szczególnym względem na siebie samą prawa i obowiązki swoje stanowi, starołacińską zasadę kodexu moralności: — „Niech zginie świat, byle stało się zadość sprawiedliwości...“ w odniesieniu do siebie stawia i nią się rządzi. Co za obowiązek nie uważa, obowiązkiem dla niej nie jest — nie jest dla niej obowiązkiem zwłaszcza to wszystko, co się uznanem przez nią prawom jej przeciwstawia, co jej przeszkadza do rozwoju jej własnej istoty. Niech poczuje w sobie skłonność, zdolność, siłę do czegoś, co przecież poza granicą jej dotychczasowych zobowiązań się znajduje: sądzi się za uprawnioną, aby je ze siebie strząsnąć, porzucić, jak suknię, która wolność ruchów tamuje i ztąd między nieużyteczne odpadki iść musi. Czy to będzie, naprzykład, wyższa zdolność do nauki, czy praca korzystniejsza, lub powołanie, talent jakiś, który się szerszego działania, przychylniejszych dla siebie warunków spodziewa, to oddaje się temu na ofiarę zobowiązania dawniejsze, które związały się wtedy ciasnemi, rzuca się dla nich dom, męża, jak to uczyniła we Francyi emancypowana

Aurora Dudevant (Sand), a mniej więcej w tym samym czasie entuzyastka nasza, niemniej od tamtej genialna i przez zapal serca swego niemniej w porywach swoich gorąca, Narcyza Żmichowska (Gabryella) pisze, że talent z niczego nie zwalnia, a przeciwnie obowiązuje, że jest w życiu jedynie nadatkiem. Emancypantka nieraz na ofiarę wielką się zdobywa, ale tylko dla dojścia do celu swego; poza tym zaś nie ma wcale tej surowej karności ducha, tej silnej woli w pilnowaniu się moralnem, tego uczciwego, jeżeli nie uczuciowego, nie miłosnego, delikatnego względu na innych, jakim właśnie odznaczały się entuzyastki w stopniu najwyższym. I oto Stuart Mill, choć w pojęciach wolnej woli i praw człowieka jest już bardzo radykalnym, musi niemniej emancypantkom angielskim przypominać, że wolna wola — to przecież nie bezprawność; że ta, która jest obowiązkami względem męża, rodziny związana, traci już prawo do tej swobody bezwzględnej, jaka się tylko własnych zdolności siłą ogranicza. Prawa etyczne nie pozwalają jednego rzucać a drugiego braci, w miarę jak pochód w życie i modyfikacja umysłowości naszej innych ideałów pięknosciami nas pociąga. W głębi niejednej energii, która celu swego dopina *quand même*, jak w głębi niejednej świetnej a szybko zdobytej fortuny, kryje się zimno serca i egoizm na siebie tylko uważnym względem zwrócony — rozluźnione pojęcie obowiązku i nieodpowiedzialność moralna, przeciwstawiająca się najmocniej moralnemu kodexowi naszych entuzyastek, dla których sumienność w rachowaniu się ze sobą i drogami swych czynów była przykazaniem najpierwszem. żadnego rozgrzeszenia mieć niemogącym. Ta, która im była gwiazdą przewodnią i środkowym punktem ich grupy całej, prawodawczyni ich, ta im ogłasza kto to jest ten, który, krocząc za celem własnym, nie zważa, „czy na drodze jego: błoto czy przepaść, czy serce bliźniego“ — ta je ostrzega, że jeżeli na świecie jest cierpień mnóstwo;

¹⁾ Żmichowska; następnie Chmielowski i Skimborowicz.

Piękna lub chleba głodne ubóstwo,
I od ubóstwa gorsza choroba,
I od choroby gorsza żaloba,
I od żaloby, ach! gorsza strata,
Żywych serc bratnich w kałużach świata:
To nad te straty, nad te cierpienia,
Najgorszy z wszystkich—wyrzut sumienia!

Przez tę wielką i szlachetnie wygórowaną władzę, a razem cnotę sumiennosci, różnią się zarówno *Entuzjastki* od kobiet sentymentalnych, od kobiet niezrozumianych, które wydaje koniec ósmego a początek naszego wieku. Przychodzi nam to z Zachodu, z Francji mianowicie; jest to objaw chorobliwy, pewna forma przejściowa między kobiecością dawną a kiełkującą już ideą emancypacji. Osłabłe pojęcie obowiązków kobiety pracującej w rodzinie, zadowolonej szczęściem, z tej rodzinnej pracy powstałem, tworzy sentymentalizm. Jest to zarazem modny stroik kobiecy; nawet te, które są rzeczywiście poświęcone rodzinie, nie chcą w niej cieszyć się szczęściem zdrowym, pić spokojnie ze źródła jej uciech i pociech słodkich. Są wprawdzie obok tego drugie, które pragną w takiej zasłonie poetycznej zbiedz ze stanowiska obowiązku i uczciwej drogi życia i to odłam „kobiet niezrozumianych”. Gdzie maż żąda pracy, obowiązku pełnionego twardo w życiu twardem, takiego trudu, jaki jemu samemu czoło rosi, tam kobieta z sercem samolubnem, która używania tylko żąda, wdycha za innym jakimś życiem, rozmarzona rzuca frazesy i nazywa kobietę „wieczną żebraczką miłości”. I tamte pierwsze mają też podobnie niby poetyczne pozowanie swoje: są unęczone przez nadmierną jakoby uczuciowość, kochają męża, dzieci, ale chorują na zbytek tej miłości, mają wogóle zawiele uczucia, aby żyć jak inni ludzie. Choćby można im powiedzieć, że to znak ciasnego serca, niezdolnego pomieścić zdrowo i normalnie uczuć wyższych, niemniej lubują się w tej słabowitości serdecznej, i już Tańska w *Pamięcie po dobrej matce* z niemi walczy, przeciwstawiając ich sentymentalizmowi hartowność ducha, obowiązek uczciwie wykonywany, pisze:

„Śmiało Amelio, córko ulubiona!
Jeśli jest ciężar, to ty masz ramiona...”

Jak Kazimierz Brodziński był poprzednikiem Mickiewicza, czyniącym drogi jemu i zwrotowi poezji, którą nam przynosił, tak Tańska, to niewątpliwie poprzedniczka Żmichowskiej, torownicza jej kierunku. Są rzeczy niedające się dostrzedz, gdy na nie zbliżka patrzymy; trzeba pewnego oddalenia, pewnej perspektywy, aby odciąwszy się i na drugi plan obrazu wystąpiwszy, tłem się dla niego stały. To też Żmichowska sama nie zdaje się tego widzieć, że podejmuje dzieło przez tamtą poczęte, przez tamtą ugruntowane. Tańska położyła pod nie kamień węgielny, Tańska dała podwaliny tej budowie przez zwrócenie kobiety na drogę prostoty i szczerości, wśród których jedynie praca może być rzeczywistą i płodną, przez zwrócenie kobiety do obowiązku a wreszcie i najważniej: przez zachowanie jej idei ojczyzny, czego sama była wzorem i przykładem szlachetnym. Tańska, a raczej już wtedy Hofmanowa, to w praktyce poświęconego swego życia entuzjastka pierwsza!

Słowacki może powiedzieć w uniesieniu poety, że zamknęła ona serca kobiet na kluczyki szpizarniane, niemniej to jej praca, jej zasługa, że Żmichowska nie zastała serc tych spustoszonych przez chorobliwość i zepsucie obce, zabitych przez cudzoziemską. Żmichowska przychodzi do zdolnych już pojąć ją i odczuć, chwytając jej siłą swą genialną i wiedzie torem górny. Szukając między nami entuzjastki, trzeba nam zacząć od jej postaci najważniejszej, od kobiety w rodzinie: od żony, która jest towarzyszką mężczyzny, od matki, która przez wychowanie dziecka buduje przyszłość społeczeństwa naszego.

(Dokończenie nastąpi).

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Z przestrachem spojrzała na Zaborską; lecz on natychmiast podniósł się, twarz ocierając, i wlepił znowu oczy w profil grecki dziewczęcia.

— Hm!—rzekł po namyśle—Wolski! Ja tam się jego dla acanny nie boję. Wie on, że tak wysoko sięgać mu—wara! Ale ten Butrym. Acanna znałaś tego Butryma? he?

Faustysia żywo się zwróciła do chorążego.

— Dziećmi—śmy się znali jeszcze—rzekła—i potem.

Nachmurzył się chorąży.

— Kochał się? bestya jakaś! Specyałów mu się pańskich zachciewa—rzekł ponuro—ale niech ja go dostanę: dopiero go nauczę mores.

Faustysia przelotnie zerknęła i szydersko się uśmiechnęła: szczęściem książe nie zrozumiał wrazu jej twarzy.

Pomimo rozmiłowania, chorąży, zmożony wysiłkiem i długim czuwaniem—ziewnął tak przeźraźliwie, szeroko, gwałtownie, iż Faustysia zadrdzała. Był to dla niego samego znak spóźnionej pory i potrzeby spoczynku. Pochylił się ku siedzącej na mękach Faustysi, pogłaskał ją, usuwając się od tych pieszczot, pod brodę—i przykładając palec do własnego nosa, zamruczał:

— Proszę tylko być grzeczną—i w żadne konszachty się z nikim nie wdawać, ani z Butrymami, ani z tym łajdakiem Wolskim, który powinien stać zdaleka, gdy przychodzi z interessem. Dobranoc, perełce, slichności mojej, dobranoc!

Uszczęśliwiona tem, że ją zegnał i miał uwolnić od siebie, porwała się Faustynka z kanapy, dygnęła przed księciem, który jej od ust posłał całusa, zawinęła się, furknęła i znikła. Trzeba było wstać z kanapy: kolej więc przyszła na Zaborską pomódz księciu, ale w ten sposób, ażeby pomoc ta była zamaskowaną, a on sam mógł ją sobie wytłómaczyć poszanowaniem, nie zaś potrzebą i osłabieniem.

Nadeszła stara, podając rękę chorążemu, który, drugą sparszy się na stoliku, dźwignął się, wstał, wyprostował i zwolna począł, suwając nogami, ku drzwiom zmierzać. Tu na niego, w kurrytarzu, czekał hajduk Sawery, którego Wolski nanowo zainstallował u progu—podłuchawszy tylko denuncyacyą Faustyny, która go w niezmierną złość wprawiała.

Nie chciał się tu księciu nastęrczyć, ale polecił, wyprzedzając go, do przedpokoju, i tam siadł, czekając na powrót chorążego, aby wytłómaczenia się z zarzutu nie odkładać do jutra.

Gdy książe, wchodząc, zobaczył go, namarszczył się i dał niecierpliwy znak, aby za nim szedł do gabinetu. Tu, ledwie usiadłszy w krzesło, zawołał groźnie:

— Co ty mi, lotrze jakiś, do Zaborskiej myślisz koperczaki stroić? dam ja ci!

— Do jakiej Zaborskiej?—zapytał Wolski nainnie.

— Juści nie do starej!—krzyknął książe.—Ty, jakiś!

— A ja-m na młodą ani spojrział nigdy, ani do niej zagadał—klnę się jasnie oświeconemu panu. W głowach im się pomieszało.

— Ani mi się waż tam więcej chodzić!—zawołał książe.—Zdaleka dozorować, ale od romansów wara!

— Nie śniło mi się o nich—odparł, wdychając Wolski—jest od rana do wieczora co robić—i bez tego. Ot i dziś...

— Cóżes zrobił dziś?

— Biedy sobie napytałem—odezwał się Wol-

ski.—Donieśli mi, Bóg raczy wiedzieć, prawdę czy fałsz, jakoby się ten niecnota Butrym u ojców Reformatów ukrywał. Poszedłem, gdy zmierzchno, domagając się, aby mnie do klasztoru wpuszczono.

Książę, słuchając, podniósł głowę i usta otworzył, a brwi ściągął. Nie lubił żadnego zajścia z duchowieństwem.

— Jak wpadł na mnie ojciec gwardyan—mówił dalej Wolski—jak narobili wrzawy o gwałt, o napasć—strach. A ja, prawdziwie, zem ja tylko prosił najgrzeczniej, żadnego, najmniejszego nie dopuściwszy się despektu.

— No—i cóż? wpuścili?—zapytał książe.

— A wpuścili.

— Znalazłeś go?

— Nie—rzekł Wolski upokorzony.

— Osieł!—skonkludował książe—osieł! Któż tak robi? gdzie głowa? Wiedziałeś, że tam był? Juści siedzieć wiecznie nie mógł; mogłeś zasiąść pod furtą i czekać, aż wynijdzie. Potrzeba ci było klasztor alarmować! he? Narobią z tego wrzawy i powiedzą na mnie, że ja napastuję klasztor. Jeszcze tego brakło.

Mocno się nagniewał książe, plując, klnąc i pięść ukazując Wolskiemu.

— Otóż to takie sługi!—mówił.—Gdzie go pošlesz, to ci kurtę skroi... tam (książe wskazał ku Zaborskim) umizgi, a na klasztor napasć. Ty-byś powinien pójść w dyby, wychrztó ty przemierzły i siedzieć o chlebie i wodzie!—ty!

Wnet sobie przypomniał książe, iż zagrożony tą karą potrzebny mu był do pilnowania więźniów—i do wielu innych spraw, których innemu powierzyć nie mógł—zamruczał niewyraźnie i począł się uspokajać. Wolski, choć miał postawę pokorną i udawał wylekłego, wcale nie uczuł trwogi. Wiedział nadto dobrze, że książe, jak się nie mógł obejść bez Butryma, tak i bez niego nie potrafi.

— Żeby mi się ojciec Remigi nie naprzykrzał—odezwał się książe po namyśle—trzeba go ulagodzić. Posłałem mu już na święta faskę solonej łosiny i jałmużnę; trzeba, żebyś mu co zawiózł jeszcze—i niech milczy, bo ja tych skarg nie lubię.

— Może-by z którego folwarku masła i kilku baranów książe wysłać im kazał.

Chorąży kiwnął głową.

— A żeby mi o tem mowy nie było!—skonkludował.

Wolski, otrzymawszy znak, aby szedł precz, tymrazem już wprost do swojej izby powrócił, obmyślając najlepszy sposób pomszczenia się nad Faustysią.

— Patrzajcie! jaka to zmija!—mówił do siebie.—Wprost ze skargą do księcia. No—zapłacisz ty mi za to!

Wolski mówił w gniewie, odgrządzając się, lecz wstydnie nie wiedział sam, jak tę pomstę wyrzucić na Zaborskich.

— Ani chybi, że się kochają z tym Butrymem, marzył, zasnąć nie mogąc.—Niechże się on w moje ręce dostanie: dopiero się będzie miał zpyszna!

Szło głównie o to właśnie, by się do rąk Wolskiego dostał—i trzeba było obmyślić jakiś lepszy sposób pochycenia niebezpiecznego człowieka.

Nazajutrz rano był już Wolski na miasteczku, zaszedł do Reformatów, z asygnacyą księcia na masło i barany, prosząc ojca Remigiego, aby mu jego omyłkę przebaczył, a przed chorążym go nie oskarżał.

Potem kazał szukać Łobody, którego znalazłono gdzieś w szynku, a ten, na kolana padłszy i głową o ziemię tłukąc, poprzysiął na wszystko najświętsze, iż Butryma widział, i że on u Reformatów był.

Sposzony wszakże, mógł uciec z miasteczka, i to się najprawdopodobniejszym zdawało. Wolski sądził, że teraz na czas jakiś jawnego poszukiwania potrzeba było zaprzestać, udawać jakoby się go wyrzekło, a dopiero, gdyby Butrym, ubezpieczony, wrócił tu, starać się go zręczniejsz pochycić niż pierwszym razem.

Łobodę precz odpędziwszy, Wolski innych swych ludzi cichaczem porozstawiał na wszystkich gościncach, do miasteczka wiodących, dając im rysopis przybliżony Butryma. Mieli oni pilnować wjeżdżających do miasta, śledzić gdzie-by zajechali i natychmiast donosić na zamek. Był

pewnym Wolski, że Butryma teraz już w Białej szukać było daremne, i że pewnie umknął nocą.

Mając swoich pomiędzy żydkami i gawiedzią miejską, faworyt książęcy wszystkim przyobiecwał sowitą nagrodę za odkrycie przestępcy. Posądził i brata, że nie mógł, pomimo wyprzysiężenia się przed księciem, nie wiedzieć o Damazym, i około niego więc nadzorców postawił, aby o każdym jego kroku donosili.

Wszystkie te rozporządzenia zabrały mu czas do południa i, powróciwszy na zamek, ledwie miał czas zjeść, gdy nowe polecenia książęce wypędziły go znowu z domu, tak, że do Zaborskich dowiedzieć się nawet nie mógł.

Wieczorem do księcia z raportem docisnąć się nie potrafił, bo długi czas z księdzem biskupem Riokurem chorąży siedział nad jakimiś papierami, zamkniętymi.

Rano miał wstawać z łóżka Wolski do nowej roboty, gdy do drzwi jego zastukano. Jeden ze stróżów nocnych, których on około skrzydła przy mieszkaniu Zaborskich postawił, przychodził uśmiechnięty z raportem.

Opowiadał tajemniczo, że około północy, człowiek jakiś z wałów podkradł się pod okna Zaborskich i grudką śniegu w jedno z nich rzucił, że okno się zaraz otworzyło, i, nim stróż dobiegł, coś na sznurku spuszczone z niego. Ów człowiek pochwycił to i umknął.

Stróż się tłómaczył, że ani mógł dopędzić, ani nawet dobrze się przypatrzeć temu zuchwalcowi, a wrzawy uczynić nie chciał, bo, nimby ludzie od bramy się ruszyli, próżno-by szukać było wiatru w polu.

Nie mógł to być nikt inny, jeno Butrym:—Więc szukanie go za miastem i wszystkie przeciw niemu wymierzone zabiegi były próżne! — syknął Wolski ze złości.

Myliłby się ten, ktoby sądził, że Damazy Butrym, którego jak lisa tropiono i osaczano, — wiedząc dobrze o tem, z jakim miał nieprzyjacielem do czynienia, trwożył się tem bardzo.

Był to człowiek takiego temperamentu, że niebezpieczeństwo mu smakowało i dopiero się czuł w swym żywiole, gdy spokoju nie miał, a wykrecać się musiał i o lepszą iść z nieprzyjacielem.

Przez Froima starego i żydków, których opłacał po szynkach, wiedział, co się działo, a Wolskiego wysłańcy najczęściej tam siadywali i między sobą, podpiwszy, rozpowiadali, co i jak czynić mieli. Żadne ich słowo nie uszło mu. Obracał się więc niemal swobodnie, bo był ostrzeżony, a nieporadnych ludzi wcale się nie lękał. Zuchwalstwo Damazy posuwał do tego stopnia, że, rozmaicie się przebierając, to pożydowski, to podziadowski, to pobabski, swobodnie kręcił się po miasteczku i z temi, którzy na niego czyhali, rozmawiał.

Wiedział, że za pochwycenie go naznaczona była nagroda—i śmiał się. Na noc, tak jak wprzódy, chadzał do Reformatów, tylko nie tą furtką główną, ale w murze umieszczonemi drzwiczkami, któremi ze stajen gnoj wyrzucano. Te zwykłe stały prawie rok cały zamknięte; ale Damazy klucz od nich dostał przez furtyana, a parobek wewnątrz znajdujący się, drąg co wieczór wyjmował. Po wysokiej kupie gnoju i śmiecia, można było wejść tędy do środka, samemu nie będąc widzianym.

Przekonawszy się, że rada brata była dobra i że z ucieczką należało czekać, dopóki chorąży z Białej nie wyjedzie, Butrym przysposabiał tymczasem co do niej było potrzeba. Nie szło to łatwo, ale też i niepilnem było.

Damazya oddawna tak się wesołym nie czuł i ochoczym, tak pełnym nadziei. We dnie od strony wałów nie było żadnej straży i nikt tam nie chodził zimą. Butrym, korzystając z tego, w biały dzień, okutawszy się jakąś oponczą, przechadzał się pod oknami Faustysi, i tak długo się tam wałęsał, aż ona go postrzegła, a on mógł jej dać znak.

Szczyściem, matki nie było w mieszkaniu; Damazy podbiegł pod sam mur i rozmówił się z nią, zapowiadając, że w nocy przyjdzie z listem i po

list, aby w ten sposób ciągle o sobie wiedzieć mogli.

Zaklinała go Faustysia, aby się na niebezpieczeństwo nie narażał; ale Butrym tak wesoło drwił z niego i tak je sobie lekceważył, że i jej dodał męztwa.

Tymczasem zaraz pierwszą kartkę stróż nocny wyszpiewował. Butrym widział go nadbiegającego i—choć list dostał, ale na przyszłość droga już była zamknięta. Faustysia też, nim okno zamknęła, biegnącego człowieka zobaczyła, i list przeczytawszy, natychmiast go spaliła, aby nie wpadł w ręce matki.

Wolski, dowiedziawszy się o nowej przygodzie, sam nie był pewnym, co ma z tem począć. Czy oznajmić księciu, czy pójść do starej Zaborskiej, czy, nikomu nie mówiąc nic—urządzić pod oknami zasadzkę?

Niezmierne zuchwalstwo Butryma do wściekłości go doprowadzało, bo zdawał się z niego nagrawać.

Księżciu o tem oznajmić, że się znowu nie udało uchwycić śmiałka: było to tylko gniew jego ściągnąć na siebie.

Nagryzłszy się sam sobą, Wolski, zżymając się i burząc, poszedł do starej Zaborskiej. Zastał ją na konferencji z Szurską, a przy tej nic mówić nie chciał.

Szurska pogardała wychrztą i niechętnie rozmawiała z nim; wkrótce też wyszła. Z miny pęsej Wolskiego poznała stara, że złego coś przynosił z sobą.

Zasłaniał się złościwie.

— Cóż to?—rzekł—panna Faustynka na mnie skarży przed księciem?

Spodziejając się Zaborska tego wyrzutu, na odparcie go, była nieco przygotowana. Zaczęła od dosyć naturalnego śmiechu.

— A wiesz jak to było?—odparła—książę przecie ją sam zagadnął, aby mu powiedziała: czy Wolski, chodząc do niej, nie zaleca się czasem? Faustysia się uśmiechnęła i tyle, że głową kiwnęła: oto i tyle.

Wolski, uwierzył temu czy nie, wargi zagryzł, głową potrząsł.

— Oj! moja jejmościuniu—rzekł—tak wy swoje interessa sprawiacie, że mi was żal. Nie dobrze się to skończy. Jejmość córki nie trzymasz, jak należy; nie nie wiesz.

Żeby nie kłębuszek, to-byś nawet o Butrymie dotąd—ani be ani me—nie wiedziała. No, a teraz to jejmość wiesz, że ten łotr po nocach się pod okna podkrada, a panna mu bileciki na sznurku spuszcza.

Zaborska z podskokiem się porwała z krzesła i krzyknęła:

— Kiedy? co?

— Dziś w nocy stróż o mało go nie pochwycił.

— Nie może to być!

Zaborska chciała natychmiast biedz do córki, Wolski ją wstrzymał.

— Miej-że jejmość rozum, hałas nie rób — cicho. Kto wie? może się tym sposobem łotra tego pochwyci. Co pomoże, iż córkę wylajesz? Ona się wszystkiego wyprze.

Zaborska płakała i narzekała.

— O Boże ty mój, Boże, za coś mnie takim dzieckiem obdarzył, przez które ja tylko cierpieć muszę! Szczyście jej samo w ręce lezie.

Ży i narzekania na Wolskim najmniejszego nie czyniły wrazenia; siedział, gryząc paznogie i dumając.

— Ale czy-ż to prawda? czy prawda?—wołała Zaborska.

— Kłamstwo nie może być, bo prosty człowiek takiej-by rzeczy nie zmyślił.

Rozpaczła Zaborska.—A nuż książę się dowie? — Ja mu tego nie powiem — odezwał się Wolski—ale jejmość pamiętaj, co ja dla niej czynię. Butryma tego wezmę, żeby mnie nie wiem co kosztować miało, a jak się w moje ręce dostanie, żywym z nich nie wyjdzie!

Jejmość ze mną powinnaś wiernie trzymać; książę i niebardzo młody i nie tak to zdrów. O to się postaramy, aby pannę wyposażył, ja w tem, ale ona niczyją potem nie będzie—tylko moją.

— Słowo?—zapytał Wolski, rękę wyciągając — albo, albo? Chcecie na to przysiąc—ja wszystko

na siebie biorę, pomagać będę, odganiać będę— a Faustysia za nikogo nie pójdzie, tylko za mnie.

Słowo?—powtórzył Wolski.

Zaborska stała chwilę tylko, niby wahając się jeszcze, i obie ręce mu podała.

— Pamiętajcież! — dodał Wolski. — Czy ona mnie teraz kocha, czy nie kocha, ja się o to nie troszczę: po ślubie inaczej musi być. Głowę nałożę — mówił dalej — a Butryma tego dostanę— tyłu go ludzi widziało. Księcia namówię, że albo ciepłą ręką da, albo papier taki, coby go nikt naruszyć nie mógł.

Bezemnie wy nie zrobicie nic, a ze mną szczęście przyjdzie. Ja też nie bez jakiego grosza; wioszczyne się kupi, albo dobrą zastawę dostanie, już ja wiem gdzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Przesilenia — Gielda. — Projekta praw nowych. — Żelazna wytrwałość. — Wychodźstwo. — Śmierć Auerbacha; pamiątkowa o nim książeczka. — Portrety. — Biografia. — Książki i czytelnicy w Niemczech — Młodość pisarza. — Pierwsze prace. — Śmierć — Ośmdziesięciolecie Wiktora Hugo; jak starzec wygląda. — Odetta Sardou i Maria Uehard. — Własność literacka. — Pot Bouille. — Nazwiska. — Zola oportunistą. — Ludwik Halévy. — L'abbé Constantin. — Powieści francuzkie. — Daudet. — Biografia Zoli. — Poszymizm i realizm.

Jesteśmy pod wszystkimi względami w epoce przejścia: z zimy, której nie było — do wiosny, której jeszcze niema; z życia parlamentarnego, które po strasznych burzach, w apatyczny spokój się zmienia; z karnawału, już zamkniętego, do doby koncertów i odczytów. Cisza wielka tymczasem, w której życie, na krótki czas rozbudzone, znużeniem i wysiłkiem się kończy. Nawet ów olbrzymi krach giełdowy, po upadku Bontoux, wprędce dał się zażegnać i spekulacye na papierach różnych, swoim trybem powoli idą znowu. Jest coś w naszego czasu naturze i usposobieniu, trwaniu gwałtownego pobudzenia sprzeciwiającego się—wielkie poczucie potrzeby spokoju i prawidłowego rozwijania się. Wybuchy są gwałtowne, ale krótkie. Ludzie się może przekonują, iż wszelka praca i postęp prawidłowy muszą się rachować z czasem i nie osiagają się inaczej jeno wytrwałością i chodem mierzonym. Smutne doświadczenia w końcu zawsze jednak czegoś uczą. Nawet ta gorączka spekulacyi, która kosztem łatwości jednych bogaciła drugich — zdaje się ostygąć. „Grynderstwa“ jak je tu zowią, stają się coraz trudniejszymi. Mowa jest wszędzie o pohamowaniu przez prawo wyzyskiwania ludzi nadziejami przesadzonemi i grą, która hazardownej w Monaco nie ustępuje niczem, chyba ją rozmiarami przewyższającą. Wiek pracy musi w końcu zerwać z temi gorszącemi igrzyskami, które od niej odrywają i demoralizują.

W parlamencie pruskim zwolna i dosyć spokojnie roztrząsa się zmiana Praw Majowych.

Wielkich tu jednak i stanowczych zmian spodziewać się trudno. Znamieniem systematu ks. Bismarka jest jego żelazna logika i konsekwentność. Zmienia on narzędzia, któremi się posługuje, ale celu—nigdy. Próżno-by było po nim się ustępstw spodziewać. Wszystkie wnioski do praw, odrzucone wielokrotnie, powracają i powracać będą, aż w pomysłnej chwili kanclerz postawi na swoim.

Od gwałtownych i namiętnych walk w parlamencie niemieckim, — któremu ściśniętą pięścią pogroźono—książę nie występował prawie. Obie strony walczące, obóz postępowy i liberalny z jednej, książę z grupą mniejszości, popierającą go, z drugiej—zrażone, znużone—opuszczyły ręce, odkładając nowe starcie do pomysłniejszej chwili.

Tymczasem, o czem już nieraz wspominaliśmy, emigracya ze szczęśliwego państwa niemieckiego trwa i przybiera rozmiary nadzwyczajne. Tworzą się stowarzyszenia ułatwiające wychodźstwo, zapewniające mu stosunkowe—powodzenie. Była

wprawdzie mowa o kontroli i utrudnieniach, lecz zdaje się, że tymczasowo zaniechano tego środka, który ma być skutecznym. Odpyw ten na wiosnę będzie jeszcze silniejszym.

Marzec tymczasem zabiera mnogie ofiary, nekrologia codzien nowo straty w ludziach pracy wskazuje. Jedną z najwybitniejszych na polu literatury jest zgon Bertholda Auerbacha, popularnego w Niemczech autora wiejskich powieści i romansów kilku. Był on rówieśnikiem naszym, i dwudziestu dni tylko brakło mu do obchodu siedmudziesiąt-lecia jego żywota. Mówią, że ostatni prąd idei w Niemczech, budzący nienawiść przeciw jego współplemiennikom i współwyznawcom, przyczynił się wielce do przyspieszenia mu zgonu.

Przyjaciele Auerbacha, przygotowawali na jego siedmziesiąt-lecie, które obchodzić miano d. 28 Lutego, książeczką jubileuszową, zmienioną dziś na żałobne wspomnienie. Wysłała ona u A. B. Auerbacha (Syna) w Berlinie i zawiera, między innymi, ciekawe zestawienie sześciu wizerunków zmarłego, poczynając od 1832 do 1878 r. Studium o pisarzu przez p. Eug. Zabel, kilka poezji i wyjątki z mów pogrzebowych—dopełniają całości dosyć zajmującej. Cała działalność Auerbacha jest pokrótce tu odmalowana z bezstronnością i umiarkowaniem, ale nieco chłodno. Więcej pisarz niż człowiek występuje na tych kartkach.

Ciekawym dla nas zeznaniem, są słowa p. Zabel, potwierdzające to, co my po stokroć od lat dwudziestu powtarzaliśmy i powtarzamy: że w Niemczech ta nieszczęsna knajpa, ta pochłaniająca wszystko piwiarnia, życie rodzinne i duchowe zabija.

„Francuzom i Anglikom—pisze Zabel (str. 17)—cenienie drukowanego słowa daleko wyższe niż u nas, przyznać musimy. Dobre książki są tam pięćkroć i dziesięćkroć pilniej niż u nas czytane, kupowane, i każdy człowiek prywatny szyci się tem, że sobie małą biblioteczkę zbiera, gdy u nas starczą poszarpane exemplarze, z czytelnicy wypożyczane, na których widne są ślady rąk rzeźniczych i piekarskich.

„W Niemczech, zresztą, na zwiększenie się ochoty do czytania, już dlatego rachować nie podobna, że zły nałóg, ojców rodzin z żonami i dziećmi wieczorem do restauracji i piwiarni wypycha — i to nie po wielkich miastach tylko. Przepadają w ten sposób drogie dla duchowego odżywiania się godziny“.

Z biografii właściwej Auerbacha szczegółów tu podanych mało. Urodzony d. 28 Lutego 1812 r., naukowe wykształcenie winien był gymnazyum i uniwersytetom w Karlsruhe, Sztutgardzie, Tübingen, Monachium i Heidelbergu. W 1836 r. wystąpił z pierwszym piśmkiem swem: *Das Judentum und die neueste Literatur*. To był początek jego zawodu. Wiemy, że potem poświęcił się studiom nad Spinozą, a z jego życia stworzył obraz, nad którym pracował dosyć długo.

Wydawca księgarz — podjąwszy się wydania tej książki, po której bardzo się mało spodziewał, gdy mu Auerbach chciał postawić warunek jakiś dla drugiego jej wydania, powitał go śmiechem i ofiarował się zapłacić mu, choćby 10.000 talarów, jeżeli książkę spotka to szczęście. Wistocie miała ona potem wydać kilka, lecz powodzenie w ogóle — niewielkie.

Głównie zawdzięczał Auerbach sławę swą sielskim powiastkom ze Schwarzwald, wydanym w 1843 roku (*Schwarzwälder Dorfgeschichten*). Na tem polu, według Freiligrath'a, poprzedził go, nie tak szczęśliwie jednak, w Niemczech: Stilling, Pestalozzi, Brentano, Immermann. Freiligrath pierwszy go ocenił i zaśpiewał mu powitanie.

Z późniejszej już doby dojrzałości pochodzą romanse większych rozmiarów: „Na wyżynie“ (*Auf der Höhe*), „Willa nad Renem“ i inne. Mnóstwo pomniejszych prac Auerbacha, jak się ze szkicu p. Zabel przekonujemy, nie weszło w późniejsze wydanie dzieł jego i przebrzmiało bez wielkiego rozgłosu. Próbował on sił swoich na polu dramatycznym, ale z małym lub żadnym powodzeniem; tak, że po kilku próbach musiał się tej niewłaściwej sobie formy wyrzec.

Wiemy, że w ostatnich czasach miał pracować nad pamiętnikami, i że zostawił po sobie dosyć

znaczny spuściznę rękopism, których rozpatrzeniem i wydaniem zająć się mają: jeden z synów jego, Spielhagen — przyjaciel zmarłego — i kilka jeszcze osób do tego wyznaczonych.

Przed chorobą (zapalenie płuc), która przyspieszyła mu zgon, Auerbach czas jakiś przemieszkował w Berlinie; opuścił go, aby uniknąć wrażeń nieprzyjemnych, a w Cannes, gdzie się uzdrowienia spodziewał, znalazł — wieczny spokój.

Prawie współcześnie sędziwszy Wiktor Hugo obchodził w Paryżu swój osmdziesiąty rok życia, otoczony tą czcią powszechną, niemal bałwochwalczą, jaką Francuzi swojego największego poety, zwłaszcza od powrotu z wygnania, karmią i poją. Pomimo wieku tego, Hugo cieszy się zdrowiem jaknajlepszym; je znakomicie, pracuje codziennie przy otwartym oknie i daje audyencye mnogim swoim wielbicielom. I jego teka nie jest wyczerpaną. Wiemy o całym szeregu dramatów i poezji, które dopiero po zgonie ukazać się mają. Szczęśliwszego żywota literackiego — przykładu może niema w rocznikach. Przyczyniło się nawet wygnanie i cierpienie do usławnienia go i podniesienia. Jako ojciec rodziny, mniej szczęśliwy, ma jednak na pociechę dwoje rozpieszczonych wnucząt, które bardzo kocha. Podróżujący Niemiec (Zolling) tak nam opisuje powierzchowność teraźniejszą sędziwego poety: — „Dla wspaniałej głowy jego godzi się zapomnieć o małej, zgruba ociosanej postaci i prozaicznie zakrąglonym brzuchu. Gęsty, ośniewiająco biały włos na głowie i brodzie, twarz jego otacza. Wspaniale, jak z bronzu ulane czoło, szerokie fałdy przeryniają je; ono najszcześliwiej burze życia przetrwało. Duży nos, jakby ze starości, pochyla się i zwiesza nad usta, oczy też zmalały. Mglista osłona obleka te gwiazdy pływające (?) — nieoznaczonej barwy. Toną one prawie w zapadłych dołach i tylko w chwilach ożywienia nakrótka — uczucie silniejsze blask im nadaje“.

Dożyć, jak Wiktor Hugo, lat osmdziesięciu — z olimpijskim spokojem ducha, po tylu burzach przetrwanych: na to potrzeba prawdziwie wyjątkowej organizacji; bo nawet nieustanne owacy i codzienne okadzania wielbicieli wyczerpują.

Gdy W. Hugo tryumfuje — szczęśliwy Sardou, który dotąd na scenie miał sam powodzenia, oskarżony jest — nie po raz pierwszy — o przywłaszczenie sobie cudzego dobra. Ostatnia komedia-dramat jego *Odette*, jak dowodzi porównanie, jest kopia, *mutatis mutandis*, zapomnianego dramatu *Mario Uchar*d, La Fiammina. Plagiat oczywisty. Odkryto go jednak, nie we Francji, która ma pamięć bardzo krótką, ale w Niemczech. Molierowski „Je prends mon bien partout où je le trouve“, może być jedyną wymówką. Czy wytoczą proces p. Sardou za to nowe rabusiowstwo — nie wiemy? Francuzi wogóle, własności literackiej bronią aż do — śmieśności. W zasadzie nie można zaprzeczyć słuszności, lecz zbyt ściśle wykonanie stanęłoby na przeszkodzie swobodnemu ruchowi myśli, i przynosząc materyjalną korzyść pisarzom, zrzuciłoby im duchową szkodę, nierównie dotkliwszą. Wiele dzieł, za których tłumaczenie żądają przesadzonych honoraryów autorowie, pozostaną wcale nie przekładanymi. Praca literacka, jak każda inna, wynagradzać się powinna; lecz nazbyt się znowu i wyłącznie troszczyć o spieniężenie, to ją poniża i godności pozbawia — *Ne quid nimis*.

Zola ze swoim nowym obrazem współczesnym ma innego rodzaju utrapienie. Ludzie żywi upominają mu się o nazwiska, które noszą — nadane postaciom powieści, wcale nie sympatycznym. Wytoczono już jeden proces, a drugiego unikając, Zola sam nazwisko bohatera zmienił. Mielśmy tyle razy w życiu podobne nieprzyjemne niespodzianki z nazwiskami w powieściach (nawet dziś jeszcze taka nas spotkała), iż się wcale nie dziwimy, że to p. Zoli trafić się mogło, mniej pewnie oględnemu.

Nieboszczyk Korzeniowski opowiadał nam o podobnych przygodach, które go tak nudziły, iż na dowód, jak drażliwość w tej mierze jest — niepotrzebną, w jednej z powieści, umieścił — Korzeniowski.

Mysmy raz, dawno temu, wielkiej doznali przykrości, przekonując się ze zdumieniem najwyższym, iż w „Tomku Prawdźcu“, nietylko umiesz-

czony był po nazwisku, ale z imieniem temsamem, człowiek żyjący, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy (G. N.). Trafić na nazwisko — niczem jest jeszcze, ale przydać imię do niego tak nieszczęśliwie, żeby to dwoje razem, zeszło się z rzeczywistym, żyjącym kimś: na to mieć potrzeba taką dole osobliwą, jak nasza. Naturalnie, i imię i nazwisko wyrzucone zostało.

Dwa procesy o imiona — i współczesne tłumaczenie — nie potrafiły nowej powieści Zoli (*Pot-Bouille*) nadać tego zajęcia, jakie wywołały dwie przedostatnie, *Assommoir* i *Nana*. Oprócz tego brudów już tyle było w tem *Pot-Bouille*, że redakcja pisma, w której odcinku się ona drukuje, — zmuszoną została do — kropkowania wyrazów, do wykreśleń i modyfikacji. Z tego powodu protestują przeciw Zoli towarzysze jego i współwyznawcy, krzyk podnosząc ogromny, że nie godzi się błota, brudu, wyzywów i wszelkich obrzydliwości tych obcinać, bo to charakterowi utworu zagraża.

L. Ulbach pisze: „Z powodu tego romansu pomiędzy wyznawcami naturalizmu trwoga ogromna. Pan Zola czyni ustępstwa i, byle być drukowanym, gotów jest wyrzec się wielkiego wrazenia. Zgadza się na poprawki, na wymazywania. Próbowano naprzód parę razy systematu zastępowania paskudztw kropkami; teraz obcinają je, ile można. Mamy już tylko pozostałą woń oczyszczonego papieru. Czy autor oszczędza się, aby cało wystąpić, gdy wydrukuje książkę? Czy ogłosi, że w niej text będzie nienaruszony i w pierwotnej swej sile? Ja, jako kolega dobry i czytelnik ciekawy, życzyłbym p. Zoli, aby stał przy druku całkowitym, niezmiennym swojego textu; inaczej maleje w oczach swych wyznawców, i potępi się sam przed ogółem. Wpada w oportunizm, przeciw któremu miał walczyć“.

Z równem podziwieniem przyjęto w Paryżu przesłanną powieść, wielce utalentowanego, Ludwika Halévy: *L'abbé Constantin*, którą, jeżeli się nie mylimy, jedno z pism warszawskich ogłasza w tłumaczeniu. Halévy nie był dotąd znanym jako moralista, jako pisarz mający na celu piękne typy i jasne strony życia podnosić w swoich opowiadaniach, do których wziął się odniedawna. Zgadza się na to wszyscy, iż pierwsza próba tego rodzaju — jest małym arcydziełem. Dowodzi to tylko, że istotny talent, czego dotknie, potrafi uczynić pięknym i, zajmującym. Malowanie cnót samych i ludzi dobrych a sympatycznych było i jest jednym z najtrudniejszych zadań dla artysty. Jest to coś nakształt tych obrazów, w których na tle jasnym występują postaci bez cieniów, ubrane w biel. Lecz mistrzowski pędzel i takiemu zadaniu poddać może. Ludwik Halévy wyszedł zwycięzko, i wszyscy mu prorokują niezawodną nagrodę Akademii, „prix de vertu“ — na którą nietylko treścią, ale i talentem zasłużył.

Prassa francuzka, zdumiona, nie może pojąć, aby ów współpracownik, znany pana Henr. Meilhac, mógł coś tak cnotliwego i sielankowego napisać.

„Tyle ma dowcipu i talentu ten Halévy, — woła sprawozdawca p. M. Gaucher. — Fantazyja mu przychodzi stworzyć coś w rodzaju Bouilly — no — i od pierwszego razu udaje mu się to tak, że ktoby sądził, iż w życiu nigdy nic innego nie robił!... Popelnivszy tyle dramatycznych zbrodni, nagle stać się tak niezmiernie moralnym!“

„L'abbé Constantin“ jestto, naprzekór naturalizmowi, rzecz pełna prawdy i naturalizmu także, ale wyborem przedmiotu stojąca na przeciwległym krańcu. Tu cały ten świat taki śliczny, tak pocieszający, tak do życia obudzający ochotę, jak Zoli świat Halewego naturalności, życia, plastyczności odmówić nie podobna.

Powieściopisarstwo francuzkie istotnie potrzebowało takich kilku odżywiających talentów, aby nie zeszło na najobrzydliwszą tandetę. Kopami wychodzi w Paryżu rzeczy tak nędznych, tak wstrętliwych, choć nawet nie bez pewnej wprawy i sztuki pisanych, że gdyby nie Alf. Daudet, Halévy, Theurient i... niewielu innych, do których zaliczmy panią H. Gréville, przyszłoby zwątpić o francuzkim smaku, a powieści groziłaby — ruina i upadek.

O Alfonsie Daudet niedawno wydał brat jego Ernest ciekawą książeczkę, którą przedtem druko-

wała „Nouvelle Revue“, zawierającą wspólnej ich młodości obrazek; sam p. Alfons dopełnia go teraz historią swoich książek. Nicco wcześniej.

Te biografie, widać, że nie dały spoczynku mistrzowi realizmu, p. Zoli. Postarał się więc, aby i o nim napisał ktoś książkę i odmalował nam jego młodość, walki i zwycięstwo. Dość niefortunnie do tego tomiku dołączono niewydane poezje mistrza, które mogły być w tece pozostać. Szczegóły zresztą biograficzne nie są tak dalece nowe.

Jak Gambetta, jak Daudet, tak Zola należy do plemienia południowców, półwłochów, półfrancuzów, ludzi tych ognistego temperamentu, których zdobycze sławi Daudet w swoim „Numie Roumestanie“. Ojciec jego, Włoch był rodem z Treviso. babka Greczynka z Kandyi.

P. Emil urodził się w Paryżu d. 2 Kwietnia, 1840; jakiś czas z matką, po śmierci ojca mieszkał w Prowancyi, a w r. 1858 powrócił do Paryża. Niedokończywszy wychowania, pracował jako pomocnik w księgarni Hachette'a. Po pierwszych próbach (Powieści dla Ninony), porzucił Zola księgarstwo i zwrócił się na pole dziennikarskie.

Po „Teresie Raquin“, osnuł plan tego cyklu Rougonów-Macquartów, który miał wydawać Lacroix, a po jego upadku, przejąwszy umowę, Charpentier. Dalej historia Zoli jest historią jego romansów i nieszczęśliwych dramatów. Niezaprzeczonego talent łączy się w nim z nadęro niedostateczną teorią i wykształceniem jeszcze mniej pełnem. Co gorzej ta pseudo-teoria naturalizmu, taka, jaką wygłasza Zola, jest z gruntu fałszywą i nie wytrzymuje krytyki najpobłażliwszej.

Obok całej tej szkoły naturalistów pod dowództwem Zoli nie jest-że znaczącym tłumaczeniem francuzkie dzieł Schopenhauera, choć jedno z drugiem nie zdaje się mieć najmniejszego związku? Pessimizm w pojęciach życia, najskrajniejszy realizm w malowaniu go: potrzebaż więcej, aby odebrać mu wszelki urok i ochotę do niego? Jak filozofia Schopenhauera, tak szkoła Zoli, na wszystko złe tego świata nie mają żadnego ratunku; wskazują je, dowodzą, a ostatnim rezultatem jest samobójstwo, które staje się epidemicznym i przybiera zatrważające rozmiary. Stan prawdziwie rozpaczliwy, gdyby miał być ogólnym i miał siłę pociągającą; lecz tylko dla pewnych umysłów i temperamentów jest on wistocie niebezpiecznym, — ci nawet co nań chorują, przechodzą swę rozpacz.

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Lutym 1882 r.

Karnawał poznański rokrocznie coraz mniejsze przybiera rozmiary, ograniczając się niemal wyłącznie na przelotnem ożywieniu samych tylko ostatków. Kilka balów publicznych, kilka koncertów lub herbat na cele miłosierne: oto i wszystko, a z Popielcem następuje odrazu zupełne ucieszenie krótkotrwałej wrzawy zapustnej. W bieżącym roku, zasepionym tyłu kłeskami, zasmuconym tyłu stratami, nieliczną drużyną karnawałowa zaledwie na kilka dni zjechała, niby kuligiem, do stolicy. Koncert amatorski pierwszą stanowił przynętę ku zwabieniu gości ze wsi do pustego zwykle Poznania. Znany z pięknej metody śpiewu p. Clementi, który obdził wśród nas żywsze zajęcia się muzyką i śpiewem, wprzął teraz w rydwan królowej tonów niejedyn ładny głos i na amatorskich popisach prawdziwą przyjemność słuchaczom zgotował. Tegoroczny karnawał, rozpoczęty koncertem, skończył się występami pani Artôt, już tak bardzo niemłodej, a zawsze doskonałej śpiewaczki, która sztuką, pojęciem muzyki i niezrównaną metodą zastępuje świeżość głosu, przyćmioną wiekiem. Cesarz Wilhelm, wielki lubownik i znawca muzyki, osobnem uznaniem zaszczyca panią Artôt, która na scenie berlińskiej najtrwalsze zbiera wa-

wrzyny, zwłaszcza, kiedy głos jej się zlewa w duetach z mężkami tony małżonka jej, p. Padilly.

Nie dziwić nam się smętkowi, który przerzedził szeregi piasających taneczników. Żaloba po żalobie okrywała kirem najprzedniejsze rodziny Wielkopolski, gasząc główne ogniska życia towarzyskiego. Kilka znamienitych matron zniknęło świeżo spośród nas, zostawiając po sobie i żal nieutulony, i ślad promienny dobrych czynów i przykładów. Wspomnijmy ze szczególną czcią zgasłe w ostatnich tygodniach: Paulinę z hr. Ponińskich hr. Kwilecką i Izabellę z hr. Brzostowskich Mycielską. Obie, zasmucone najcięższym osieroceniem niewieściego serea, bo pozbawione własnych dzieci, rozszerzyły zakres swego ogniska, przytulając doń serdeczną gościnnością, i blizkich, i dalekich, i krewnych, i obcych, i smutnych, i samotnych, a zwłaszcza wydziedziczonych z pociech ziemskich. Pani Kwilecka w pięknej rodowej rezydencji, Kwileczu, głównie rozpaliała rodzinne ognisko, utrwalając wokoło siebie zacne tradycje łączności pokrewieństwa i powinowactwa, ściągając węzły licznej rodziny wspólnem przepędzaniem pod jej dachem i opieką świąt i uroczystości domowych. Pani Izabella Mycielska od lat wielu osiadła niemal u bram naszej stolicy, zżyła się z wszystkimi losami, biedami i zabiegami Poznania. — Ta Litwinka, przesiedlona na Wielkopolską niwę, należała ręką i sercem do wszystkiego, co się u nas dobrego i poczciwego robiło. Jej nazwisko błyszczało zawsze na czele każdego dobroczynnego dzieła, jej przykład zachęcał do każdej zacnej pracy. A wśród tych zajęć i trudów stwarzała w uroczem Kobyłopolu nie tylko, najpoważniejszą, wiejską zarazem i pańską, rezydencją, ale bacznie utrzymywała tradycję życia towarzyskiego, jak je rozumiały nasze babki, z całą powagą i wykwinnością minionych pokoleń. Na tle wspaniałego ogrodu, w salach pałacu zapelnionego dziełami sztuki, ożywionego kwiatami i książkami, pani Mycielska z jedyną uprzejmością witała i podejmowała najprzeróżniejszych gości śpieszących w gościnne progi Kobyłopola. Tu, w czarownych laskach i w ogrodzie odbywały się majówki studentów, zabawy rzemieślników poznańskich, tu także, ilekroć jaki znakomity gość stolicę naszą swą obecnością zaszczycił, wybrane otaczało go koło, i świetne przyjęcie utrzymywało poza granicami księstwa podanie i pamięć iście piastowskiej gościnności. Ze śmiercią pani Mycielskiej i znikaniem jej małżonka, który wraz z nią stworzył to piękne i znaczące w dziejach naszej dzielnicy ognisko towarzyskie, zamyka się bodaj ostatni u nas dom o szerszym wpływie i starodawnym nastroju.

A gdy tak dojrzałe kłosy padały na zagonie, i pełne lat i zasług matrony zstępowały do grobu, jednocześnie musieliśmy ze ściśnionem sercem rzucać grudki ziemi do przedwczesnej mogiły, otwierającej się dla dzielnego pracownika, któremu nie danem było dotrzymać świetnych zapowiedzi młodości. D-r Stanisław Warnka zgasł świeżo w trzydziestym siódmym roku życia, po długiej i ciężkiej chorobie, której do końca siłą woli się opierał, niewypuszczając pióra z kostniejącej już ręki. Prace jego na polu geografii i ekonomii powszechnie już w kraju zyskiwały mu uznanie. Rozpoczął był swój zawód piśmienniczy wyzerpującą pracą *O Glińskim*, napisaną po łacinie, która mu zjednała stopień doktorski i zapowiedziała sumiennego badacza źródeł dziejowych. Z kolei piastując urząd nauczycielski w Poznaniu, Kosfeld i Lipsku, znajdował obok obowiązkowych zajęć dość czasu na pisanie większych rozpraw, jak n. p. bardzo gruntownej *O zastawach Lelewela na polu geografii*. Przeciwności materialne i choroba piersiowa zwarzyły w kwiecie umysł tak bogaty; zgasł on w chwili, gdy wszystkie jego przymioty i dary najpiękniej dojrzały, nabierając równowagi, miary i potrzebnej zgody w pojęciach, zasadach i przekonaniach. Ze smutkiem odprowadzaliśmy go na miejsce wiecznego spoczynku, składając na jego trumnie, jak to ktoś rzekwie wspominał, wawrzyny, których uszczknąć w dalszem a pracowitem życiu nie było mu danem. Kwiaty, które nie wyrosły ani zakwitły na jego ciemistej, tak gwałtownie skróconej, drodze. W ostatnich dniach życia zmarły D-r Stanisław

Warnka współpracował jeszcze w jednym z czasopism poznańskich, kresząc obrazy „naszego położenia“, z taką znajomością i boleścią zarazem, iż nie trudno odgadnąć jak dalece te studia i wnikiwanie w rany naszego społeczeństwa musiały go kosztować krwi serca, skracając może już i tak policzone dni jego.

Z powodu tych licznych strat i śmierci uwidoczniła się znowu piękna strona wielkopolskiego odłamu naszego społeczeństwa. Odwykliśmy od wielu zwyczajów i konwencyonalnych wymagań towarzyskich; ale, jak ktoś gorzko się wyraził, niema nigdzie takich grabarzy, jak w Poznaniu. To też pogrzeby stanowią bodaj jedynę, bardzo liczną u nas zjazdy, a najpewniejszy punkt zborny, niezawodne miejsce spotkania i zetknięcia się ze znajomymi, to cmentarze i groby.

Życie umysłowe wielokrotnie się ujawniło w ciągu dobiegającej końca zimy licznymi odczytami, któremi naprzemian darzyli nas miejscowi lub przybywający zdala uczeni. Po prelekcjach hr. Wawrzyńca Benzelsztajna Engeströma nastąpił zajmujący odczyt profesora Morawskiego *O Tacycie*. Podróżujący Trapista przeniósł nas aż na dalekiej Afryki wybrzeża. P. Napoleon Żaba urokiem obrazowego wykładu przykuwał do siebie słuchaczy, którzy wślad za jego słowem błakali się po Ameryce, wędrawali po morzach i dolinach tak odmiennych od naszych rodzimych krajobrazów. Uczeni duchowni, XX. Łukowski i Chotkowski poruszali w Kole Przyjaciół Nauk ważne historyczne zagadnienia. X. Kantecki odżywił postać apostoła ludu, X. Karola Antoniewicza, i znów niezmordowany p. Engeström dał poznać większemu gronu słuchaczy postać s. p. Edwarda Rastawieckiego i znaczenie zbiorów, które prawem spadku dziś stanowią najbogatsze skarby naszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nie martwą tedy ani uspioną była ostatnia zima, a ruch umysłowy, jak zwykle, tak i w ciągu minionych miesięcy, objawiał się wokoło uczonego towarzystwa, które u nas nie przestaje być jądrem, ogniskiem i środkiem wszelkiej roboty i usiłowania poważniejszego.

Zapewne nowe życie wstąpi w mury, gdzie są złożone cenne zbiory Towarzystwa, wraz z oddaniem ich pod opiekę nowego konserwatora, p. Klemensa Kanteckiego. Młode to, a już znane i zasłużone w naszym piśmiennictwie nazwisko; rzadkiem wyjątkiem, już trzech z kolei braci dało się poznać ziomkom zdolnościami i pracami swemi. Najstarszy, X. d-r Antoni Kantecki, przerzucił się z dziedziny martwych filologicznych dociekań, w arenę politycznych zapasów i walk dziennikarskich, w których od niejakiego czasu wybitne zajmuje stanowisko. Najmłodszy, Maxymilian, rozprawą doktorską, sięgającą zamierzchłej historycznej przeszłości, zwrócił na siebie uwagę poważnych dziejopisarzy. Pan Klemens Kantecki, nowy konserwator muzeum poznańskiego, dotąd strzegł skarbów Ossolińskich we Lwowie, i z publicznych lub prywatnych archiwów wysnuwał pełne żywego zajęcia monografie, ukazujące się białż w osobnych wydaniach jak rzecz o Grotgerze, bądź w zbiorowym czasopiśmie towarzyszącem *Gazecie lwowskiej* p. t.: *Przewodnik naukowy i literacki*. Z donioślejszych, przystępniejszych prac jego, warto z uznaniem wspomnieć piękną i wyczerpującą biografią *Stanisława Poniatowskiego*, kasztelana krakowskiego, który związkami z roztropną i znakomitą Konstancją Czartoryską, równie jak własnymi czynami, podniósł tak wysoko znaczenie swego domu, że już syn jego zasiadł na tronie, a całe potomstwo najwyższe w Rzpltej piastowało godności.

Pod nową dyrekcją p. Łucyana Kościeleckiego, teatr nasz ożywił się i zdumiewał nas dobozem i rozmaitością przedstawień. Jakby dla udowodnienia, że żywił polski silniejszym jest w Poznaniu od napływowego, teatr niemiecki z braku widzów musiał być zamkniętym i przerwał szereg wieczorów dramatycznych. Publiczność obcoziemna chętnie też ucześnie na polskie przedstawienia, mianowicie gdy operetka wesolym dźwiękiem scenę ożywi, a artyści międzynarodowym melodyj przemawiają językiem.

Proces przeciw socyalistom rozgrywał się w ciągu minionych tygodni; ale zamiast odsłonić

zepsucie nurtujące w łonie społeczeństwa, ujawnił, przeciwnie, wiele dodatnich stron i symptomów zdrowia moralnego. W toku bowiem sprawy mieliśmy sposobność poznać i stwierdzić jałowość i bezsilność usiłowań kilku wichrzycieli, którzy na niewiedzięny snadź grunt poznaliśmy chcieli przenieść i zaszczerpić jad swych nauk i podżegań. Herztowie sami zostali skompromitowani. Daro usiłowali oni zarazić klasy robocze swymi zasadami: słuchano ich, dopóki nie zdradzali się z przewrotnymi teoryjami, dopóki trzymali się ogólników na pozór szlachetnych. Kuszeni przez nich rzemieślnicy rychło postawili im zarzut, iż chcą burzyć Kościół i ustanowiony porządek społeczny, i oddalali się od kusicieli, dając przez to najpiękniejsze świadectwo skuteczności obrony przeciw chorobom wieku podjętej przez Kościół i uczciwą prasę. Wichrzycieli skazano na kary więzienne różnego trwania; prócz nich nikt już nie okazał się winnym właściwego socjalizmu, co stanowi rzadki a dodatni wyjątek, zaszczytny dla Poznania, wśród powszechnie rozstrojonych stosunków społecznych.

Posłowie nasi w Berlinie dzielnie się sprawiają, słowem i czynem broniąc mężnie zagrożonych stanowisk swoich. *Maiden-speech* d-ra Witolda Skarżyńskiego, świetne wystąpienie pośła Kantaka — brzmia dotąd w wdzięcznej pamięci ziomeków. Powoli, więcej biegiem czasu i wypadków, aniżeli skutkiem wywalczonej odmiany systemu, *Kulturkampf* zawiesza broń nieużyteczną, stosunki się regulują, na osierocione stolice biskupie nowi wstępują pasterze. Obok losów naszej dycjezy, nie nas bardziej obchodzić nie mogło nad obsadzenie katedry wrocławskiej, sięgającej Piastowskich czasów. Pierwszym biskupem, który przeniósł stolicę z Byczyny do Wrocławia, był według Długosza Hieronim w r. 1052. Dziś mianowany biskup Robert Herzig będzie z kolei pięćdziesiątym pasterzem wrocławskim. Żywiono nadzieję iż rządy dycjezy obejmującej dwa miliony dusz, a rozciągającej się od Karpat do wyspy Rugii, dostaną się w ręce ziomeka naszego, księcia prałata Edmunda Radziwiła, wielu życzeniami powoływanego na to stanowisko. Rząd jednakże innego zatwierdził kandydata: dotychczasowego proboszcza gminy katolickiej w Berlinie. Życzliwa opieka, jaką pleban berliński otaczał swych polskich parafian, których stolica Niemiec liczy do kilkudziesięciu tysięcy, pozwala wnioskować, że i z Wrocławia równie ojcowiskiem sercem ogarnie polski Szlązk.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

Dra Jana Scherra *Historia Literatury Powszechnej*.

Jednym z najpopularniejszych, dla rzeczywiście wiedzy i talentu cenionych, pisarzy niemieckich jest D-r Jan Scherr. Jego obrazy i rozprawy z ogólnych i ściśle-niemieckich dziejów cywilizacji i uprawy duchowej należą przez treściwość swoje, porządną wykład i ujmującą formę do rzędu najlepszych książek szerzących oświatę; szkodzi im tylko wyłączna niekiedy niemieckość tendencji, i zbyt ni racjonalizm.

Scherra *Historia Literatury Powszechnej*, dawno już napisana; dzięki przystępności swojej, ożywień i zasobności w wiedzę, jaką czytelnikom swoim podaje, doczekała się w r. 1881 szóstego już wydania. Według tej właśnie edycji, po wyczerpaniu pierwotnego przekładu polskiego z r. 1865, firma Gebethnera i Wolffa postanowiła wydać w r. z. przekład nowy, w dwóch tomach, które obejmą ogółem siedmiesiąt kilka arkuszy druku, 8-o. Wydawnictwo to, na 6 zeszytów rozdzielone, dało już z siebie cztery pierwsze zeszyty, i za kilka miesięcy w pełni swej już przed czytelnikiem stanie.

Przekładu dokonał p. Bronisław Zawadzki; uzupełnił go zaś przypiskami, wskazującymi wa-

żniejsze przyswojenia polskie głównych utworów literatury powszechnej, podającymi przytem obszernie wyjątki z najlepszych przekładów. Dalszem uzupełnieniem i poprawieniem samej już osnowy dzieła będzie, w znacznej części oryginalnie przez tłumacza opracowany, rozdział o literaturach słowiańskich; znajdziemy go w ostatnim zeszycie. Przekładu przytaczanych przez Scherra krótszych wyjątków wierszowanych dokonał p. Maryan Gawalewicz.

Pomimo to, że Scherr w zawodzie swym literackim nieraz stawał do szeregu z *germanissimami*, w opowiadaniu swem jednak nie skrzywdził literatury naszej, a nawet zdobył się na rzadką w Niemczech dla rozwoju naszego życzliwość. Z tego względu wydawana obecnie *Historia Literatury* nie potrzebowała przystosowania do słusznych wymagań publiczności naszej.

Inny zupełnie względ nakazał usunięcie z książki Scherra wyrażen zbyt jaskrawych, mianowicie w zdaniach wypowiedzianych w imię owego, wybujałego niekiedy, racjonalizmu: i tłumacz dobrze uczynił, gdy ich w przekładzie polskim nie utrzymał. Mamy wszakże prawo mniemać, że jeśli nie tylko wyrażenie, ale nawet myśl niejedną usunąć musiał, nigdzie przecież żadnej myśli nie przeistoczył: to bowiem byłoby już grzechem.

Polszczyzna przekładu w ogóle dobra, korekta staranna; te zaś nieliczne błędy, jakich ustrzedz się było trudno, sprostowane jeszcze być mogą. Spodziewamy się, że porównanie z oryginałem nie wzruszy zasadniczej wiary, w dokładność przekładu — wiary, bez której publiczności popierającej wydawnictwa dzieł przyswajanych wyobrazić sobie nie podobna.

W krótkiej przedmowie do T. I tłumacz wyjaśnia pobudki do wydania książki Scherra i użyteczność jej wskazuje. Nie znaleźliśmy tu jeszcze nie o autorze; i wiadomości odpowiedniej wyglądamy przy dokończeniu wydawnictwa.

Należy się tłumaczowi szczerze uznanie za to, że do czterech wydanych zeszytów wybrał starannie obszernie wyjątki z tych przyswojeń naczelných utworów poezji powszechnej, które literatura nasza dotychczas posiada. Wyjątki te, przy dobrym wogóle wyborze, prawdziwie wzbogaciły książkę i podniosły jej wartość dla czytelnika polskiego.

Z przytoczeń, o których mowa, spotkaliśmy dotychczas: *Pożegnanie Hektora z Andromachą* w przekładzie Pawła Popiela (T. I, str. 111 do 136); *Wstęp do Iliady* J. Słowackiego (140 do 142); *Wyjątki z Sofoklesa* K. Kaszewskiego (166 do 175); *z Eschylosa i Eurypidesa* J. Szujskiego (161 do 165 i 176 do 181); *z Arystofanesa* Lewestama (193 do 199); *z Herodota* Kaź. Kaszewskiego (202 do 211); *z Plauta* X. Kanteckiego (224 do 231); *z Terencyusza* (232 do 242); *z Horacyusza* Siemieńskiego (254 do 269); *z Liwiusza* (bitwa pod Kannami) K. Kaszewskiego (278 do 285); *z Tacyta* J. Szujskiego (286/7); *z Cycerona* Rykaczewskiego (289 do 297); *z Corneille'a* L. Osińskiego (362/3) *z Racine'a* Kopystyńskiego (365 do 383); *z Dantego* Mickiewicza i Stanisławskiego (480 do 490); *z Petrarki* Felicjana (492 do 503); *z Lope de Vega* J. A. Święcickiego (T. II, str. 41 do 54); *z Calderona* K. Balińskiego (61 do 97), J. A. Święcickiego (97 do 105 — streszczenie „*Życie Snem*“) J. Słowackiego (105 do 110); *z Ossyana* F. S. Dmóchowskiego (144 do 149).

Umyslnie wskazaliśmy tu obszerność wyjątków, aby dać wyobrażenie o bogactwie źródeł bezpośrednio odsłaniających piękno poetyczne lub wdzięk stylu. Takie i tak liczne wyjątki, choćby niewszędzie do oryginałów z pożądaną dokładnością przystające, dają zawsze czytelnikowi sposobność do zaznajomienia się z charakterem każdego poety lub pisarza; wprowadzają go zatem na drogę najodpowiedniejszą do spożytkowania dzieła historii literatury poświęconego.

Właściwie mówiąc, literaturę Scherra zamknął głównie w poezji i historii też poezji powszechnej w dziele jego szukać potrzeba. Dziejopisarstwo klasyczne tylko i niemieckie otrzymało właściwą dla siebie przestrzeń; filozofia i wiedza ścisła, pierwsza z wyjątkiem niemieckiej, dodatkowe tylko, ogólny rozwój ducha w narodach i szczepach objaśniające, zajmują stanowisko. Przez takie przodownictwo poe-

zy dzieło przyswojone obecnie zasadniczo odróżnia się od znanego już u nas, z jednej przynajmniej, ostatniej, najżywiej współczesność obchodzącej, części, dzieła *Carriere'a Die Kunst u. Literatur im Zusammenhange der Culturentwicklung u. d. Ideale d. Menschheit*, wyszłej w r. 1879 nakładem wydawcy *Bluszczu* p. t.: *Sztuka i literatura w XVIII i XIX stuleciu*. W cztery razy obszerniejszem dziele swym *Carriere* mógł więcej objawów życia uwzględnić, a mając wzrok utkwiony nieustannie w rozwój i walkę pojęć filozoficznych i religijnych, dał rzeczywiście pełniejszy obraz duchowego życia ludzkości, Scherr, poprzestawszy na mniejszem, z zadania swego wywiązał się w sposób dostępny dla wszystkich; książka jego odpowiada rzetelnie przeznaczeniu dzieła, mającego dopiero wprowadzić umysł jeszcze świeży do tego wspaniałego przybytku, w którym ludzkość mieści skarby wyobraźni swojej i uczucia twórczego.

Sama metoda wykładu, etnograficzna, jakkolwiek dla głębszych poglądów niedogodna, dla pierwszego jednak obznajomienia umysłów jest od synchronistycznej właściwszą; i słusznie ją też autor do podręcznika swego zastosował. Ostatecznie *Historia literatury* Scherr'a uważamy za książkę dobrą, użyteczną i prawdziwie poczytną.

O postaci i ciężarze ziemi, odczyt Stanisława Kramsztyka.

Starożytność wyobrażała sobie ziemię w różnych postaciach: jako taflę pływającą po morzu, jako sześciąt, czółno, lub bęben. Niewiedząc, jak ją w przestworze umieścić, kazano jej rosnąć w nim, jak roślinie, zapuszczonej w niezmierną głąb korzeniem. Demokryt ma już pojęcie o nieskończoności światów w przestrzeni i czasie. Platon wystawia sobie świat jako kulę, a powszedniem wyobrażeniem o wielkości ziemi zadowolnić się nie może; wszelako wierzy jeszcze w jej kształt sześcienny i ze wskazówki Parmenidesa nie korzysta. Znajdują się jednak pośród Greków umysły, które odgadują kulistość; przed Ptolemeuszem drogą genialnego domysłu Parmenidesa kroczą Arystoteles i Archimedes. Grecy mierzą południk, pierwszy pomiar daje ojciec geografii, Eratostenes, 2,100 lat temu; inni Grecy idą jego torem; Arabowie niedołącznie powtarzają ich pracę. Po ciemnościach Wieków Średnich Kopernik dopiero geniuszem swoim oświeca drogę i silny na niej daje popęd. On pierwszy stwierdza naukowo kulistość ziemi, a w sto lat przeszło po nim Newton wywodzi z prawa ciężenia konieczność spłaszczonego kształtu kuli ziemskiej pod biegunami i wielkość spłaszczenia oblicza. Poprawienie tego rachunku i nieodwołalne już wprowadzenie nowej prawdy do nauki zajmowało wiek XVIII, który odmierzeniu południka ziemskiego z gorliwością się poświęcał. Dociekania astronomiczne i pomiary południkowe dają początek metrowi, który był pierwszą miarą, nie konwencyonalną, ale wymiarami samej ziemi wskazaną. Badania uczonych w naszym wieku wytknęły wszakże w długości metra błąd, którego poprawienie będzie już tylko rzeczą praktycznego zastosowania danych nauki. Idąc coraz dalej, w naszym wieku obliczono gęstość ziemi, następnie ciężar, a nawet przypuszczalną ciężkość gątkową jej wnętrza. Prace nad tym przedmiotem nie ustają od czasów Cavendisha i za dni naszych znajdują się w biegu, a prawie uwierzyć-by się nie chciało, że główną w nich pomoc dają narzędzia tak proste, jak wahadło i zwyczajna waga.

Przedstawienie główniejszych usiłowań w przeszłości; wykład teoretyczny samego przedmiotu; obznajomienie słuchacza z zasadniczymi środkami działania naukowego, jak trójkatowanie; stanowiły zadanie powyższego odczytu, wydanego obecnie w osobnej książeczce. Z zadania tego autor wywiązał się należycie: oświecił i nauczył. Wykład odznacza się porządkiem i jasnością, jest treściwym i w prawdy naukowe zamożnym. Trudno znaleźć więcej rzeczy nauczających na 93 stronicach (12-o; Warszawa; druk „*Wiek*“). Błędy korekty są, jak na tak małą książeczkę, dość liczne; teodoliz nazwano teodolitem.

Świeżo wydany zeszyt *Encyklopedyi*, czternasty od początku wydawnictwa, obejmuje: dokończenie *zyciorysu Bystrzonowskiego* słynnego autora *Polaka Sensata* przez p. Chmielowskiego, artykuły biograficzne: *Bandtkie Jerzy Samuel*, *Campan* (pani de) *Campe*, autor *Nowego Robinsona*, *Caraccioli* (wszystkie trzy przez X. Tad. Lubomirskiego), *Cegielski Hipolit* przez p. Morawskiego. Z artykułów teoretycznych, najistotniejszych w Encyklopedyi, spotykamy dwa: *Charakter* przez prof. Straszewskiego Maurycego i *Checiwość* przez prof. Ochorowicza Juliana. Zakończają zeszyt: *Cheder* przez F. Straucha i *Chemia* przez A. M. (początek).

Bandtkiego pomieszczono dopiero w końcu litery B., gdyż zapomniano o nim we właściwym miejscowym miejscu. Zyciorys profesora krakowskiego wyszedł z pióra p. Michała Bobrzyńskiego; napisany dobrze, zwięźle, odznacza się on starannością wskazówek bibliograficznych.

Zajmującym jest artykuł *Caraccioli* z powodu stosunku, w jakim ten pedagog znalazł się do rodziny Rzewuskich, a przez nią i do Polski XVIII w. Autor starannie wybierał fakta i pojęcia ówczesne i dozwolił zajrzeć w wychowanie, usposobienie i uzdolnienie obywatelskie synów Waclawa Rzewuskiego. Wychowanie to nie było świetnym, a uzdolnienie przedstawia się tylko jako jego następstwo. *Caraccioli*, wzięwszy do wychowawczego trudu swego ideał *pana* a raczej *panka*, modny wówczas we Francji, z goryczą mówi, że się zawiódł, ale przedewszystkiem powinien był widzieć, że zawiódł się na samym sobie. Przykre wrażenie sprawia instrukcja Waclawa Rzewuskiego, dana synom i mentorowi ich na drogę, oraz przytoczony porządek zajęć dziennych w domu: w tej lekkości nie poznajemy ani autora *Psalmodów pokutnych* ani prawego, poważnie myślącego obywatela kraju. Jakże jaskrawo odbijają owe przepisy Waclawa od wskazówek jego ojca Stanisława! Oile poznać można, wyjął je autor ze zbioru listów Rzewuskich, znajdujących się w archiwum Biblioteki b. Szkoły Głównej w Warszawie. Księga ta mieści w sobie wiele ciekawych szczegółów do wewnętrznych dziejów rodziny. Cały artykuł przejęty jest jędrnym uczuciem obywatelskim. Pięknie mówi autor, żeśmy w owej epoce, kiedy nas C. lalkami pańskości obdarzał, potrzebowali ludzi wierzących jak pątnicy z Mogiły, pracowitych jak Staszcz, rozumnych jak Kollataj, zakutych w żelazo, jak Kościuszko.

P. Maurycy Straszewski do swojego wykładu *O charakterze* przyjmuje za pewnik, że w naturze człowieka, a, jak wyraża się autor, „w naturze ducha człowieka“ tkwi poczucie obowiązku i dążenie do urzeczywistnienia tego obowiązku (str. 445). To poczucie przejść musi w stałe usposobienie, aby się mogła urzeczywistnić doskonałość moralna (str. 446). Poczucie obowiązku musi opanować cały charakter (str. 446). Autor był już u celu, gdy konieczność owego stałego usposobienia wskazywał: to bowiem, a nic innego, jest charakterem w człowieku.

Artykuł p. Straszewskiego jest bładny, bezkrytyczny, oryginalności, chociażby tylko formalnej, pozbawiony; podczas kiedy sam przedmiot dopominał się w *Encyklopedyi* jaknajrozumniejszego, jaknajgłębszego, a żywego opracowania. *Charakter* w wychowaniu toś to nie prosty żołnierz, nie pion znaczący tylko coś liczbą swoją, ale hetman co się zowie, przewodnia gwiazda całego trudu wychowawczego. Niejedna rzecz w *Encyklopedyi* napisana jest zbyt obszernie, a nawet są takie, bez których obyć-by się można; natomiast tak ważne zadanie, jak wyjaśnienie pojęć o charakterze, spełniono tylko półsercem. Dano mu i zamało miejsca i, jak się okazuje, siłę nieodpowiednią.

Gdyby ci, których dotyczą bezpośrednio wyniki artykułu p. F. Straucha *O Chederach*, przeczytały go i zrozumieć mogły, należałoby artykuł ten przedrukować i w dziesiątkach tysięcy osobników rozrzuć. Po rdzennym zarysie historycznym i opisie stanu chederów — tej ohydy wieku naszego, istniejącej już tylko w ziemiach dawnej Polski — autor kończy słowami: — „Každy cheder, sprzeciwiając się warunkom sanitarnym, estetycznym, wychowawczym i naukowym, jest potępie-

nia godnym siedliskiem ciemnoty, tamującym wszelki rozwój fizyczny i umysłowy młodzieży; jest stekiem fanatyzmu, zabobonów i nieobyczajności“. *Quousque tandem?*

W przytoczeniach łacińskich, zeszytu czternastego, są błędy; w przypisku na str. 427 opuszczono cały wyraz: „ministra“.

Historia filozofii materialistycznej Fr. Alb. Lange'go.

Jedno z najznakomitszych dzieł filozoficznych nowszej literatury niemieckiej niedługo czekać potrzebowało na spolszczenie po zjawieniu się swoim w trzecim, ostatecznie już kształtującym je, wydaniu. W 1877 r. wydanie to ukazało się u Baedekera w Iserlohn, a w 1880 r. wyszedł pierwszy zeszyt przekładu polskiego, — nakładem nieżyjącego dziś już Bernarda Lessmana, księgarza warszawskiego. Gdyśmy na karcie zapowiadającej nowe wydawnictwo ujrzeli nazwisko pana Al. Świętochowskiego, jako tłumacza, zapytaliśmy się w duchu: co też się stanie z ostatnim rozdziałem dzieła, w którym Lange, poddawszy krytyce materializm, teoretyczny i praktyczny, ekonomią polityczną *à outrance*, policyjność dzisiejszych usposobień społecznych, pozytywizm, socjalizm, negacją wszystkiego, co nie da się zmierzyć i odważyć, walkę z religią, ze sztuką i z poezją — i wyróciwszy to wszystko, wytyka dla ludzkości jedynie godne jej kierunki myślenia działania, uspołeczniania się, — jednym słowem: rozwoju i życia? Pytanie powyższe stawialiśmy sobie z obawą o całość, o nietykłość dzieła, — a czyniliśmy to z tem większym prawem, że już w samej zapowiedzi tłumacz poszedł wbrew autorowi i jego *Geschichte des Materialismus* oddał popolsku przez *Historię filozofii*, jakgdybyśmy w swoich umysłach pojęcia, a w swoim języku wyrazu *materializm* nie posiadali. Z pióra p. Świętochowskiego wyszła cała księga pierwsza dzieła, kończąca się na filozofii Leibnitz'a, Wolfa i Goethego. Przy zeszycie IV dopiero poddano się konieczności; samowolną „Historią filozofii“ zastąpiono prawowitszą już „Historią doktryny materialistycznej“¹⁾. Pod tym ostatnim tytułem, dzieło weszło do piśmiennictwa, a raczej do księżnictwa, naszego. Z końcem Tomu I p. Świętochowski złożył pióro i przekładu Tomu II dokonał już Felix Jezierski. Na początku r. b. wyszedł ostatni, dziesiąty, zeszyt dzieła, podzielonego na dwa tomy: I, str. VIII i 9/387; II, str. VI i 9/509 in 8-o.

Lange, chcąc oprzeć swoją historię materializmu na gruntownych podstawach, nie mógł się ściśle ograniczyć do samych tylko nauk materialistycznych, lecz je w ścisłym związku z naukami innymi ukazał. Stało się więc, że jego dzieło daje istotnie zarys dziejów ogólnej myśli filozoficznej od Demokryta aż do naszych czasów; chociaż przewaga jednej strony badania nad innymi za historią filozofii w ścisłym znaczeniu uważać go nie pozwala, i za taką też autor książki swej nie uważał. Wielka wszakże jasność, wynikająca zawsze ze znajomości rzeczy i głębokiego przekonania o takiej a nie innej jej wartości; chwalebna dośrodkowość wykładu, umiejająca zebrać w dane miejsce wszystko to, co do danego przedmiotu należy, — sprawiły, że z dzieła Langego lepsze wyobrażenie o rozwoju filozofii od najdawniejszych czasów, niż z innych, umyślnie na to przeznaczonych, podręczników powziąć można.

Z tego względu zalecamy Langego wszystkim do poważnego myślenia zwracać się zdolnym i poważnej wiedzy poszukującym umysłom. Wiemy, że niejednego przeraził sam wyraz „materializm“, na okładce odczytany: niech zajrzy do środka. Książka Langego zasługuje na rozpowszechnienie dlatego właśnie, że się materializmowi przeciwstawia i broni praw Ideału. Niewielu dziś w obozie idealistycznym znajdzie się myślicieli, którzyby mieli taką, jak Lange, odwagę do stożenia walki z temi wrogami ludzkości, jakimi były dla niej zawsze w praktycznym jej życiu doktryny materialisty-

czne i pozytywistyczne — sięgające po berło królowania i nieomylną władzę.

Gdy pośród nas pospolite jakieś, uczuciowością tylko rządzące się pióro gromy na materializm ciska, widzieć w tym możemy jedynie wyraz bezwiednej, tradycyjnej, nawykowej nienawiści, nie przekonaniom samym nie przynoszący; ale wszyscy wzmacniamy sobie umysły, dajemy silny grunt pod przekonania swoje, gdy rozum tak krytyczny, wiedz tak rozległa i gruntowna, jak Langego, oprowadziwszy nas po wszystkich drogach i manowcach filozofii materialistycznej, wyniki poznania swego streszczają nam w zdaniach: że materializm, podsycając egoizm, jest teoretycznie niewystarczającym, a praktycznie pozbawionym wszelkich bodźców dla sztuki i nauki; że człowiek dla własnego dobra uznać musi nieodwołalnie prawowitość i wiekuistość żywiołu poetycznego w sztuce, religii i filozofii; że wreszcie temu żywiołowi powinniśmy jaknajsilniejsze panowanie zapewnić — aby i jednostkę i powszechność ustawicznie i bez granic uszlachetniać. Książki, w których takie prawdy znaleźć można, są dobrymi apostołami ludzkości.

DROBNE LISTKI.

D-r Antoni Rehman, przebywający obecnie w Wiedniu, wykończył dzieło o geografii fizycznej Transwaalu.

Wieczór Słowackiego w Krakowie, urządzony przez młodzież akademicką, z przeznaczeniem czystego dochodu na powiększenie funduszu *Macierzy*, udał się wybornie. Prócz znanego i u nas z deklamacyj koncertowych wiersza poety: *Smutno mi Boże!* który wypowiedział Modrzejowska, nagrodzona od publiczności oklaskami, od których trzęsła się sala; prócz dodanego przez nią nad programmat, a również znanego już w Warszawie z estrady, ustępu ze *Ze snu srebrnego Salomei* i kilku jeszcze poezji Słowackiego, które wypowiedziano — Dr Pawlikowski odczytał na zakończenie wiersz Asnyka *Do cieniów Słowackiego*: „Poeto oskarżono ciebie“, a wtedy według słów przytomnych „wieczór Słowackiego zamienił się nagle w wieczór Asnyka“, który wywołany głosami wszystkich, musiał się ukazać i przyjąć wyraz entuzjastycznego uwielbienia, jaki zbudziła jego wspaniale piękna poezja, zakończona temi słowy:

Laur, który oddawna Tobie się należy,
Pośród nowych pokoleń, bierzesz z rąk młodzieży...

Kazimierz Ożog, prezes Czytelni Akademickiej, w przemówieniu, które otwierało wieczór, przyrzekł ceniom Słowackiego i drugą rzecz jeszcze, która mu się należy: pomnik, jaki dostanie, skoro tylko Mickiewicz doczeka się swojego.

Julian Ochorowicz miał we Lwowie odczyt na rzecz pomnika Mickiewicza: *O zasadach w teorii i w życiu*. Prelegent rozpoczął od rozpatrywania zasad w najdawniejszej przeszłości, badał zasadę etyczną moralności i przechodził jej koleje, kładąc nacisk na brak zasad w życiu, pomimo, że w teorii nie brak ich nigdy, i zakończył: „W pogoni za najdroższym człowiekowi ideałem, nie ci zwyciężą, co według potrzeby będą się godzili na wszelkie środki i drogi, ale ci, co będą wiernie stali przy zasadach i będą niezłomni“.

P. Stefan Buszczyński przywiózł z Ossjaku, w Karyntyi, pielgrzymią spinkę, znaną przed czterdziestu kilku laty w grobie Bolesława Śmiałego, a powierzoną mu dla zachowania w Krakowie, przez miejscowego proboszcza księdza Andrzeja Krainca. Spinę tę dnia 4 Marca r. b. złożył p. Buszczyński do rąk biskupa Dunajewskiego, wobec obecności kanonika Polkowskiego, wobec konserwatora zabytków starożytności w Galicyi, prof. Łepkowskiego, oraz hrabiego K. Przezdzieckiego. Szacowna ta relikwia po królu-pokutniku, wraz z autentycznym protokołem, spisany o znalezieniu jej przy otwarciu grobu, przechowywana będzie oddat w skarbcu na Wawelu.

1) Jednakże i tak jeszcze przekład całkowitego tytułu nie jest dokładnym. Niemiecku czytamy: „Kritik seiner Bedeutung in der Gegenwart“; popolsku opuszczono „krytykę“: widocznie przez przyjaźń czy miłosierdzie dla materializmu.

Hrabia Przezdziecki, noszący we Francji nazwisko: de Noire Isle, otrzymał za przekłady poezyj polskich na język francuzki, tytuł honorowy: „Officier de l'Académie“, z oznaką przywiązaną do tej godności, srebrną palmę akademicką na fioletowej wstążeczce.

Kostecki, Polak wykładający we francuzkiem kolegium w Commercy język i literaturę niemiecką, a ceniony w naukowych sferach Francji jako pedagog wyższego znaczenia, zwrócił teraz na siebie uwagę ogółu. Idąc za wskazówką Juliusza Simona, który wobec usunięcia ze szkół francuzkich nauki religii, żądał, aby nauczyciel świecki budził w uczniach uczucie religijne i myśl o Bogu, napisał Kostecki na czytanie niemieckie z umieszczonym obok textem francuzkim: *Modlitwę na wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi*. Ma to być rzecz głęboko filozoficzna i wielce piękna, którą *Debaty* i inne dzienniki francuzkie tego kierunku podnoszą wysoko. Zakończy ją krótki ustęp o obowiązkach względem kraju, rodziny i samego siebie.

Miła zapłata wypełnionego obowiązku spotkała w tych czasach młodego właściciela dóbr na Podolu Galicyjskim, p. Mieczysława Skarbka. Wies naddniestrzańska, Demenka, była przez lat przeszło trzydzieści pozbawiona tej opieki moralnej i kierunku cywilizacyjnego, jaki niesie za sobą, a przynajmniej nieść zawsze powinna, obecność właściciela większego, dziedzica — mówiąc po staremu, i czuła to snadź gromada Demenki, bo gdy p. Mieczysław Skarbek odziedziczył majątność sposobem spadku po krewnym swoim i przybył tam, aby stałe zamieszkać, spotkał u wjazdu do wsi całą gromadę gospodarzy, witającą go „korowajem“, to jest pszennym kołaczem, a dziatwa szkolna, ustawiona na drodze, zaśpiewała mu pieśń powitalną: „Mnohaja lita“.

Towarzystwo szerzenia oświaty między ludem związało się w Krakowie za inicjatywą Felixa Czesznaka. Dnia 13 bieżącego miesiąca około 40 osób pod przewodnictwem prezydenta miasta D-ra Weigla zebrało się w mieszkaniu D-r Czesznaka na Krysztoporach i radziło na jakich warunkach stowarzyszenie ma się ukonstytuować? Ostatecznie zwrócono się z prośbą do prezydenta, aby dobrowski sobie mężów zaufania, naradził się z nimi — najpierw: w jakim obrębie miejsca ma się działywanie towarzystwa zamykać, następnie jakie ma być jego stanowisko względem „Macierzy“? Stowarzyszeni postanowili się zebrać najdalej za dwa tygodnie, aby przedstawić prezydentowi gotowy już projekt do statutu Stowarzyszenia.

Gazeta Jerozolimska; pod tym tytułem zaczął wychodzić w Jerozolimie dziennik pisany w trzech językach: francuzkim, angielskim i niemieckim. Jerozolima posiada prócz tego dwa dzienniki hebrajskie i jeden armeński.

Zaludnienie miast włoskich wedle dokonanego spisu jednodniowego jest następujące: Neapol liczy mieszkańców 495,000, Medyolan 322,000, Rzym 300,000, Turyn 253,000, Florencyja 163,000, Wenecya 133,000.

Przebijanie podmorskiego tunelu między Anglią a Francją postępuje. Od strony angielskiej posiada już tunel kilometr długości, i tygodniowo przybywa mu 50 metrów. Kompania angielska urządziła w tej podziemnej galerii uczcę dla inżynierów, którzy przybyli ciekawie oglądać roboty. Biesiadników było 50, oświetlenie elektryczne napełniało podziemie jasnością równą słonecznej.

Wpływ dziennikarstwa na obyczaje zaznaczył się świeżo we Francji smutnym bardzo sposobem. W miasteczku Ivry praczka Laurent miała dwie córki: Maryą i Adryannę. Marya pokochała się w młodym czeladniku szewckim, nazwiskiem Blin, i choć matka pragnęła dla niej świetniejszego losu, zezwoliła na małżeństwo, bo rodzina była

wzorową: matka bardzo kochała córki, była również kochaną, a przywiązanie sióstr wzajemne mniejszem nie było. Wyjście Maryi z domu rozżalało też bardzo serca dwóch pozostałych kobiet; ona przecież, Marya, czuła się szczęśliwą. w jedenascie miesięcy została matką zdrowego synka, lecz nagle uderza cios niespodziewany i młoda matka umiera. Pielęgnowała ją siostra męża, Tupenot, kobieta uczciwa, żyjąca z bratową w stosunkach najlepszych: niemniej matka i siostra zmarłej oskarżają ją o zabójstwo na zasadzie, że doktor był wezwany zapóźno. Napróżno sąd wykazuje im, że nie mają żadnej podstawy do okrutnej skargi swojej, napróżno świadectwa lekarzy stwierdzają, że śmierć była nieuchronną i żaden błąd jej nie spowodził: dwie zaślepione istoty czują się pokrzywdzonymi, niewysłuchanymi przez sprawiedliwość i mszczą się same na biednej Ludwice Tupenot, oblewając ją tak witryolem, że cała głowa wraz z twarzą staje się jedną raną i z kolei one same stają teraz przed sądem jako zbrodniarki już niewątpliwe. A przecież były to kobiety dotąd uczciwe i nawet niepospolitej cnoty; cnota ta ujawnia się nawet teraz przed sądem, bo matka pragnie zasłonić sobą córkę, cór-

ka matkę i każda z nich stara się poświęcić za drugą. Niemniej nie można im wybaczyć; sąd przysięgłych skazuje matkę na dwa, córkę, która wykonywała czyn nieludzki, na trzy lata więzienia, do którego idąc, matka odzywa się głośno do córki w sali sądowej: „Idź, moje dziecko... Jeszcze nam lżej jest, niż tej, która zabiła twoją biedną siostrę i co do mnie, wytrzymam karę z odważnem sercem“...

Sąż to istoty oszalałe, te zbrodniarki enotliwe? Prezydent sądu uderzony tą anomalią psychologiczną pragnie jej dociec i prywatnie już bada młodszą, córkę: — Kiedy mianowicie przyszła ci do głowy myśl twego czynu i to, że siostra twoja została zamordowaną rozmyślnie? — pyta i dostaje odpowiedź: — *Czytałam w dziennikach mnóstwo takich rzeczy*, — odpowiedziała nieszczęśliwa.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 10-ty arkusz powieści pod tyt.: *Stoczona walka*.

BEZPRZYKŁADNIE ZNIŻONA CENA.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu

przekład KS. JAKÓBA WUJKA

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską

z komentarzem podług ALLIOLI

ozdobione 230 drzeworytami
podług rysunku najslawniejszego europejskiego ilustratora

GUSTA WA DORÉ,

w wielkich dwóch tomach

Cena bezprzykładnie zniżona

Obecnie tylko Rub. sr. 18 — (dotychczasowa cena Rs. 32), z przesyłką Rs. 20.

W oprawie w płótno angielskie Rs. 24, z przesyłką Rs. 27.

W oprawie ozdobnej w płótno angielskie ze skórzanym grzbietem Rs. 27, z przesyłką Rs. 30.

Opłacać można częściowo, a mianowicie u Wydawcy i w Księgarniach.

Za egzemplarz broszurowany kosztujący Rs. 18.

Co miesiąc po rs. 1 k. 50 za 5 zeszytów lub nawet co tydzień po kop. 30 za każdy zeszyt; ostatnie cztery zeszyty wydane zostaną bezpłatnie. Przy opłaceniu rat ilość właściwa zeszytów zaraz wydana zostanie — a to począwszy od końca dzieła, czyli od ostatniego 64-go zeszytu, poczem 63, 62, 61 i tak następnie.

Za egzemplarz oprawny kosztujący Rs. 24 lub 27.

Opłacać można należność w dwunastu ratach miesięcznych po rs. 2 lub rs. 2 kop. 25; po złożeniu pierwszych 6 rat wydanym będzie tom II-gi oprawny; — po złożeniu następnych 6 rat tom I-szy we właściwej oprawie.

Z przesyłką pocztą

na prowincję lub do Cesarstwa.

Zn egzemplarz broszurowany kosztujący z przesyłką Rs. 20.

Opłacać można należność w 4-ch ratach kwartalnych po rs. 5. Po uiszczeniu pierwszych 2 ch rat, przesłane będą zeszyty 33 do 64-go; — po nadesłaniu drugich 2-ch rat, zeszyty 1 do 32.

Za egzemplarz oprawny kosztujący z przesyłką Rs. 27 lub 30.

Opłacać można należność w 4-ch ratach kwartalnych po rs. 6 kop. 75 lub rs. 7 kop. 50. Po nadesłaniu pierwszych 2-ch rat, przesłany będzie tom II; — a po nadesłaniu drugich 2-ch rat tom I-szy we właściwej oprawie.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, Ulica Nowy-Świat Nr 55.

TREŚĆ. Nić tradycyi, przez M. Ilnicką. — Na Bialskim Zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań). — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe. — Drobne listki.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 9 Марта 1882 года.